

JACY ONI SĄ

Zamykałam za sobą drzwi auli, gdy licznie zgromadzeni „starsi koledzy” błyskawicznie oceniali moją urodę. To właśnie pierwszy dzień w I LO im. Karola Marcinkowskiego.

Najważniejsze było jednak, jacy ONI są. Czy prędko odkryją słabostki, czy będą życzliwi. Niepokoił swoim zachowaniem, onieśmielali zwracaniem po nazwisku. Intrygowali gestami – nieosiągalni za Autorytetem NAUCZYCIELA LICEUM.

Pamiętam, jak szybko potrafili zdobyć naszą sympatię lub też, przeciwnie – jak błyskawicznie ją tracili. Wystarczył jeden gest, intonacja głosu. Łatwo domyśliliśmy się, który z nich traktuje szkołę jak drugi dom, a który jest tu także, tak jak my, po raz pierwszy. Ci ostatni zdecydowanie prędzej zaskarbili sobie nasze względy. Pierwsi natomiast... a zresztą byliśmy wtedy w pierwszej klasie.

Z niepokojem stwierdzam teraz, że potrzebowałam czterech lat, by zrozumieć idee niektórych z nich, by polubić ich tak naprawdę i na dłużej. Przede wszystkim z nimi chciałam pożegnać się – już jako absolwentka, nieosiągalna za szkłem gabloty „Tygodnika Żakowskiego”.

Profesor P. – najbardziej tolerancyjny ze wszystkich, przed którym drżała cała klasa, choć dziennik leżał daleko odsunięty na stole. Człowiek, który potrafił połączyć w nierozdzielalną całość dyscyplinę i swobodę, ciszę i dyskusję, odpoczynek i gorączkową naukę. Na każdej lekcji inny, zawsze sympatyczny. Niekiedy „obrażony” na nas wbiegał do klasy, już od drzwi niezadowolony ze wszystkiego, co mogłoby go tu spotkać – bez względu na to, co by to było. Oparty o parapet okna wykrzykiwał skomplikowane wzory matematyczne, poprawiając co chwilę przekrzywione na nosie okulary. A gdy wszyscy robiliśmy się w ławkach coraz to niżsi i niżsi – uśmiechał się promiennie, rozbrojony naszą potulnością i nagłą chęcią uczenia się.

Profesor ten, zawsze doskonale zorientowany w aktualnościach szkolnych (i nie tylko), poświęcał parę minut lekcji na spokojne porozmawianie o bolączkach – wszyscy wsłuchiwalismy się wówczas z radością w jego pełen życzliwości głos. Nie zdarzyło się nigdy, aby ukrył przed nami najbliższą choćby ocenę, aby postawił ją niesprawiedliwie. Tak samo, jak nie zdarzyło się, by zagrożonemu uczniowi nie stwarzał coraz to nowych możliwości na uniknięcie „nieodpowiedniego” stopnia.

Mówiliśmy o nim między sobą często, był nauczycielem chyba najczęściej obecnym w naszych rozmowach. Powtarzaliśmy jego utarte powiedzonka typu „anemia umysłu”, „zielone pojęcie”, „ja ci zaraz dwójkę postawię”, z odpowiednią intonacją, lecz nigdy złośliwie. Dobrze wiedzieliśmy że to

dzięki niemu interesujemy się dość rzetelnie książką do matematyki i mamy jako takie pojęcie o tej dziedzinie nauki.

Profesor P. zasypywał mnie swoimi ukochanymi stopniami, które pod jego dłonią rozmnażały się w dzienniku niczym króliki; lecz zawsze wiadome było, że to właśnie jest dowodem na to, iż wierzył w moją ambicję. A gdy kiedyś, zapłakana i pogrążona w beznadziejnym prognozowaniu przyszłości z nieukończonymi trzema klasami szkoły licealnej, stałam na środku klasy, zdana na jego pytania, powiedział: „Zapamiętaj sobie, że fakt, iż stawiam ci dwóję, świadczy o tym, że nie jest mi twój stosunek do nauki obojętny – przecież mógłbym postawić ci piątkę, ale czy wtedy nie potraktowałbym cię w bardziej przykry sposób?”.

Inaczej przebiegały lekcje geografii. Profesor M. siedział swobodnie za stołem i przyglądał się nam z odpowiednim wyrazem twarzy. Trudno mi zdecydować, czy woleliśmy, gdy milczał i gdy milczenie to było ogromną kpiną z naszej „przedpytaniowej” skruchy, czy bardziej odpowiadały nam jego zwięzłe monologi, podczas których wykończeni śmiechem padaliśmy na ławki.

Dowcipny, niezwykle kulturalny, błyskotliwy – nie sposób było ukryć przed nim cokolwiek – a jednocześnie doskonały wykładowca, dokładny w swoich wypowiedziach, bardzo wymagający. Ponadto miał tę cudowną cechę, że cenił nasze wiadomości, a nie okładki zeszytów lub charakter pisma. Profesor M. potrafił dokonać czynu wręcz niezwykłego: zniszczył bariery dzielące nas od niego, stał się w jednej sekundzie po prostu geografem o ciętym języku, zdobywając tym samym najszczerzą sympatię czterdziestoosobowej grupy przestraszonych licealnymi prawami uczniów.

Matematyka, geografia – to brzmi jeszcze dość łagodnie, lecz chemia... Chemia przyprawiała nas o przysłowiowy ból głowy, trwający nieprzerwanie przez trzy lata nauki.

Posiadająca w szkole opinię surowego i bezwzględного pedagoga profesor W. zdobyła naszą sympatię w zastraszająco szybkim tempie. Wymagająca z lekcji na lekcję więcej, dokładna w swojej pracy, niezastąpiona przy tłumaczeniu lekcji i najspokojniejsza pod słońcem przy odpytywaniu, powodowała, że wykształcony przez starszych od nas uczniów strach przed nią zamieniał się w gorącą wdzięczność. Surowa w ocenianiu naszych postaw i poczynań, a łagodna w ocenie wiadomości, nie stwarzała nigdy kłopotów „nadprogramowych”, lecz dopingowała do nauki. Jej magnetyczne, duże niebieskie oczy i donośny, ładnie brzmiący głos sprawiały, że najnieznośniejsi i najbardziej gadatliwi z uwagą uważali na lekcji, pomimo iż dzisiaj przygotowują się do egzaminów wstępnych na wydziały filologiczne UAM.

A lekcje języka polskiego?

Profesor P. omotała nas swoim nieprawdopodobnym realizmem, błyskotliwą inteligencją i oryginalnością interpretacji najnudniejszych, od lat wałkowanych lektur. Rzuciła na nas urok swojej nieposkromionej ciekawości literackiej, pozbawionej charakterystycznego dla większości polonistów drażenia w przerytym już skrawku wiadomości. Szukała dla nas specjałów literackich, raczyła „deserami” swojego pomysłu – zawsze szczęśliwa, gdy chwytałyśmy haczyk i powolutku pięliśmy się w górę, gdzie ona niecierpliwie czekała z sednem rozpatrywanej sprawy.

Drobna, o bystrych oczach i rozbijającym PO PROSTU CHICHOCIE, stała się punktem, w którym krzyżowały się nasze spojrzenia. Nauczyła nas może nie tyle życiorysów rodzimych literatów, ile umiejętności posiadania własnego zdania i stawania w jego obronie przy pomocy dość jeszcze nieudolnych, lecz już argumentów.

O nich można by mówić nieskończenie.

O profesorze B., który w podziemiach szkoły uparcie przekreślał nasze rysunki, lecz jednocześnie sprowadzał dla nas filmy wyjaśniające działania maszyn matematycznych.

O profesor R., która systematycznością swoich wykładów wprowadziła do klasy monotonię, lecz jednocześnie wybuchała śmiechem, gdy staraliśmy się przerwać jej jednostajny wykład.

O prof. B., który po mistrzowsku przyprawiał nas o niekłamaną irytację, gdy podczas naszej wypowiedzi zabawiał się rysowaniem kółek na pustych kartach – lecz jednocześnie najprostszy problem wzbogacał o nierozwiązalny aspekt, drażniący i niezawodnie pobudzający intelekt.

O prof. S., o prof. B., o prof. N., o prof. Z., o prof. W... wszędzie tam, gdzie nazwiska przeplatają się z przezwiskami, nie będącymi przecież negatywną interpretacją ich osobowości.

Szkołę żegnam z radością, choćby dlatego, że czas mojego pobytu w niej minął, że należy już do przeszłości. Choćby dlatego, że nie zawsze była miejscem pozwalającym na „popławienie się” w życzliwości i zrozumieniu. Wreszcie choćby dlatego, że zmiana, którą nazwano „odejściem ze szkoły” nie oznacza bezpowrotnego rozstania z tymi, z którymi żegna się i nie mówi się o nich więcej ponad to, co przewiduje niepisana reguła ŻEGNANIA NAUCZYCIELA LICEUM.

Axa-72 (Joanna Wawrzyniak)

„Tygodnik Żakowski” 27 kwietnia 1975